

Wychodzi we Lwowie każdego miesiąca. Wkładka roczna z numeratą wynosi 2 k. 40 h. Dla nauczycieli członków Tow. i uczniów tylko 1 k. 40 h. z przesyłką 1 k. 64 h.

MIESIĘCZNIK

Galicyskiego Towarzystwa

OCHRONY ZWIERZĄT.

Administracja i ekspedycja we Lwowie ul. Lyczakowska 22. Wszystkie pisma wkładki i prenumeraty należy adresować do prezesa A. Musiła, ul. Karola Ludwika 7.

Organ galicyjskiego i krakowskiego Towarzystwa ochrony zwierząt, zostającego pod protektoratem J. E. Leona hr. Pinińskiego. Czasopismo polecane dla szkół reskryptom c. k. Rady szkolnej krajowej we Lwowie z 30 listopada 1909 L. 35.255

Redaktor: **Józef Białynia Chołodecki** Lwów, ul. Sykstuska l. 62.

Redakcja otwarta w dniu powszednie od 2—3 popołudniu.

Upraszamy uprzejmie o jednanie członków dla Galic. Tow. ochrony zwierząt. Wkładka roczna 2 K. 40 h.; w zamian otrzymują członkowie rocznie 12 półtoraarkuszowych zeszytów „Miesięcznika“. Zapisywać się można u prezesa Adolfa Musiła ul. Karola Ludwika 7 I. p. u wiceprezesa Józefa Białyni Chołodeckiego ul. Sykstuska 62 I. p. (od 2—3 popoł.) i u sekret. Maryi Mazurkównej ul. Snopkowska 2c II. p.

Olga Bilińska.

O R Ł Y.

Jak milczący, derwisz stary
Co dostojnie za swój trud,
Poniósł życie na ofiarę —
Leży czarny jezior cud.

W praodwiecznym gór łańcuchu —
Cisza święta. To zakłète,
Granitowe tak bez ruchu,
Stoją skały wniebowzięte.

Czasem ponad wód zwierciadło
Płyną orły, bracia jarów.
Samotników to widziało
Omotuje siecią czarów.

Hej wy orły srebrnopióre,
Królewskiego rodu ptaki ;
Co to rozbijacie chmury,
I błękitu lotne szlaki,

Hetmanicie skałom w ciszy,
Przelatując wśród granitów ;
Wicher halny was kołysze,
Aż do słońca jasných świtów.

Szumia limby, płyną łuny
Poprzez złomy skalnych szczytów ;
Szopenowskie brzmia to struny,
Pełne tęsknot i zachwyków.

— — — — —
Śnią się wówczas wśród tej toni,
Smutne dzieje dusz spętanych,
Pełne ognia, kwiatów woni,
Gorzkim losom na łup zdanych.

Józef Białynia Chołodecki.

Opieka nad zwierzętami u południowych Słowian.

(Ciąg dalszy).

Turcy, nieograniczeni przez długie wieki panowie tych okolic, uważali utrzymywanie koni, jako wyłączny swój przywilej, pozwalając pozbawianym praw rajom (chrześcianom Serbom) używanie natomiast osłów.

Był to niejako objaw pogardy, okazywanej wyznawcom Chrystusa. Wskutek tego nauczyli się i Serbowie cenić nisko, gardzić spokojnym i użytecznym osłem, narzuconym im jako piętno dyshonoru. Obecnie hodują Serbowie osły tylko w południowo-wschodnich stronach kraju.

Z drobiu utrzymują Serbowie przeważnie tylko kury, gęsi, i indyki, rzadziej natomiast kaczki, łowią zaś z dzikiego ptactwa i konsumują szpaki, kwiczoły, drozdy i wróble. W ogóle

mało ma Serb zmysłu do polowań na ptactwo; zajmuje go najczęściej polowanie na kaczki.

Raki można wprawdzie spotkać na stołach Serbów, znikają one atoli szybko, a nikt nie troszczy się o ich czas ochronny i o ich hodowlę. W zimie zjawiają się także na targach ślimaki i rzeczne ostrygi. Z ryb łowi Serb wszystkie gatunki, które mu wpadną pod rękę, są one bowiem poszukiwaną potrawą wobec mnogich świąt greckiego obrządku. Chwyta się tam ryby siatkami, wędkami i innymi przyrządami, a w Drinie zabija się je także palną bronią i dynamitem, a jakkolwiek zabronionem jest używanie trucizn, nie wzdyga się ludność i przed tego rodzaju środkami, niebezpiecznym dla jej zdrowia, lecz ubezwładnia nim ryby i spożywa je z gustem.

Serb preferuje następujące gatunki ryb: czeczugę, (*Acipenser ruthenus*) z której sporządza kawior, jesiotry, (*Salmo hucho*), sandacze, ulubiona potrawa miejskiej ludności, pastrunkę (*salar*), vreten, (*Aspro vulgaris*) i przes (*eso lucius*). Karp (*savan*) ulubionym jest u ludu, tak samo sum, obok którego biedna ludność spożywa wiele ryb pośledniego gatunku. Hodowla ryb nie jest w Serbji rozwiniętą; w całym kraju istnieje zaledwie 5—6 stawów, pomimo, iż tamże są najbardziej korzystne warunki.

Zaniedbana to gałąź gospodarstwa podobnie jak pszczelnictwo i jedwabnictwo.

Najbardziej kulturalnie rozwinięty szczepek południowych Słowian

Chorwaci

zajmują na polu opieki nad zwierzętami pierwsze miejsce wśród pobratymców podobnie, jak w ogóle na polu umysłowem. Z Zagrzebia, metropoli chorwackiej rozszerza się idea opieki nad zwierzętami po wszech krajach południowej Słowiańszczyzny.

Tow. ochrony zwierząt powstało w Chorwacji r. 1885 prawie równocześnie z taką instytucją w Peszcie, r. 1882), a poruszył tę humanitarną ideę literat, radny miejski Gjuro Stefan Dezelić w Zagrzebiu, który ogłosił (r. 1885) pierwszą publikację na ten temat i rozrzucił bezinteresownie w 1000 egzemplarzy pomiędzy ludność. W dniu 8. sierpnia 1885 zebrał się pierwszy komitet organizacyjny, w którego skład wchodził: Juljusz Sereviński kupiec, dr. Antoni Lobmayer profesor, Dragutin Mondecar kupiec, Ivan Lux kupiec, Milan Stern-Zwiezdic

kupiec, dr. R. Kristof krajowy weterynarz, Dragutin Leskovac i Ryszard Flögel miejscy urzędnicy. Przewodniczącym wybrano Dezelica a właściciel drukarni Ignacy Granitz dostarczył bezpłatnie statutów i druków.

Wydano także zbiór istniejących odnośnych przepisów: Naputak (vade mecum) dla informacji członków.

Pierwszą czynnością nowego towarzystwa było ustawienie żerowisk w celu karmienia ptaszków w zimie i umieszczenie 200 sztucznych dla nich gniazdek w parku Tuskanec. Równocześnie zakazano strzelania ptaków flobertami po ogrodach i przedmieściach, wyznaczano premie za schwytanie wyławiających słowiki ptaszników i nakazano oprawcy za pośrednictwem władz policyjnych ludzkie wykonywanie swego rzemiosła.

Z drugiej strony wyznaczono pieniężne nagrody dla zasłużonych opiekunów zwierząt i dla straży policyjnej. Duchowni i nauczyciele ludowi użyczyli w tej mierze Towarzystwu swej pomocnej ręki. W trzecim roku swego istnienia powołało Towarzystwo hr. Mirosława Kuhnera z Sestiny na swego protektora, podczas gdy magistrat podjął co roku ogłaszanie plakatami zakazu łapania ptaszków śpiewających i burzenia ich gniazdek.

Jaką powagę zyskało odrazu stowarzyszenie udowadnia okoliczność, iż już w dniu 29. maja 1888 zwrócił się do niego rząd krajowy z żądaniem przedłożenia projektu do krajowej ustawy o ochronie ptactwa.

Wydział porozumiał się w tej mierze z pokrewnymi instytucjami w Wiedniu, Berlinie, Bernie, Florencji, Gracu, Rzymie, Pradze, Paryżu i Petersburgu a nadesłany materiał służył za podstawę do elaboratów, które opracowali dr. C. O. Cech, dalej prof. uniw. Spiridion Brusina i prof. gimn. Józef Janda.

Sejm z r. 1892 podniósł ten elaborat do rzędu ustaw krajowych.
(C. d. n.).

Józef Kotarbiński.

Poprzednicy »Chanteclera« w naszej literaturze*)

Na pierwszym miejscu należy tu wymienić 4-aktową wierszowaną „bajedę“ Aleksandra hr. Fredry „Brytan-bryś“ należącą do spuścizny pośmiertnej autora „Zemsty“. Sam tytuł

*) Umieszczamy artykuł dla ilustracji roli, odgrywanej przez zwierzęta, jako temat utworów polskiej literatury.

„bajęda„ świadczy, że Fredro uważał ten dramat jako szersze rozwinięcie bajki, w której satyra na głupstwa ludzkie kojarzyła się z morałem i praktyczną filozofją życia. Zapewne Fredro był także pod wpływem „Reinecke-lisa“, gdyż poruszył w „Brytanie-brysiu“ kwestje polityczne i starał się przedstawić przewroty w rzeczypospolitej, której obywatelami były wszelkie kudłate, rogate i kopyciaste stworzenia. Tylko, że w poemacie Göthege daleko więcej tkwi dramatycznej treści, akcji ciekawej i bogatej w epizody, aniżeli w równie obszernej „bajędzie” naszego mistrza komedji, który rzucał szkicowo scenę po scenie, przygodnie, bez planu, dając folgę swej satyrycznej werwie i bajecznej łatwości wersyfikacji, lekkiej, płońskiej, okraszonej błyskami humoru.

W „Brytanie-brysiu“ zwierzęta w jakiejś puszczy, sąsiadującej z państwem człowieka, bujają swobodnie i żyją bezładnie, ponieważ nie wiadomo, dlaczego wyzwoliły się z pod władzy szlchetnego regenta konia. Mają zawrzeć jakiś traktat, którego treścią będzie „równość, wolność, wieczna zgoda i bezpieczeństwo osobiste, zaręczone solidarnie“. Osieł raduje się ze swobody i wyprawia harce taneczne, rycząc jak najęty. „Brytan-bryś“ weredyk prawi ostre morały w oczy każdemu, biadając nad tem, że cała rzesza nie umie się zorganizować, gdy tymczasem człowiek, wróg odwieczny, czyha na życie i skórę zwierzęcą.

Po rozmaitych epizodach, pełnych humoru, a chwilami jędrnego satyrycznego zacięcia, ale zestawionych luźnie i dowolnie, lis układa z borsukiem intrygę, aby osła podnieść do godności wodza i naczelnika państwa. Z wyborów, które się odbywają za sceną, osieł wychodzi zwycięzcą. Mianowany regentem, bierze za ministrów i pomocników lisa, borsuka i kreতা, wydaje ma się rozumieć głupie i bezsensowe dekrety. Prędko jednak kończy się ta karjera oślego panowania. Podczas układow z mandarynem, który chciał zwierzętom narzucić tyranie człowieka, byk wziął na kieł, rogami poturbował i wyrzucił w powietrze osła, i kota, i wilka i mandaryna, objął rządy nad leśną rzeczpospolitą, przybrawszy za pomocnika „Brytana - brysia“, psa pełnego mądrości, miłośnika prawdy i cnoty. „Brytan-bryś“, opierając się na sile fizycznej byka, kończy sztukę przemową, obiecując, że będzie gnębił wszelakie podłości i niecnoty.

Niech Sępy, Dudki, Gawrony i Sowy
Wrzeszczą i gwizdzą ponad nasze głowy,
Niech Węże, Żmije, Ropuchy, Skorpiony
Pod nasze stopy wloką jad spodlony —
My idąc silnie i prosto przed siebie,
Potrafim bronić i karcić w potrzebie,
Potrafim wzmacniać wolności szczerp młody
Siłą porządku i potęgą zgody !

* * *

W nowszej literaturze i sztuce naszej, świat zwierzęcy występuje czasem sam dla siebie. Jego obywatele są indywidualnościami z własnej sfery i nie mają pretensji do człowieczeństwa. Dygasiński umiał wielkim talentem i świetną obserwacją opisywać dramaty podwórzowe, bardzo trafnie oddał naturę przyswojonego wilka, w którym obudza się, pomimo tresury i cywilizacji, natura leśnego drapieżnika. A jak prawdziwym i sympatycznym jest jego „As“, pies wierny, przyjaciel i towarzysz, uwieczniony przez rzeźbiarza na grobowym pomniku dzielnego pisarza i pedagoga. Dygasiński zerwał z tą dawną tradycją, nie kładł w pyski zwierzęce ludzkiego głosu i wyrazów, ale jako realista i poeta, zarazem umiał wydobyć i oddać subtelnie duszę zwierzęcą i pokazać jej naturę wewnętrzną w czynach.

W malarstwie podobnym mistrzem bywa Chełmiński, którego „Kuropatwy“ są tak prawdziwe, tak wybornie z indywidualizowane. Każda po swojemu stąpa i patrzy, każda brnie po śnieżnym polu, wśród zimy z troską o żer i obawą o własne losy, budzące rzewne współczucie widza.

Ze współczesnych pisarzy najchętniej wśród zwierząt obraca się Lemański, który po swojemu wznowił tradycję symbolicznej bajki i satyry. W swoich „Colloquiach albo rozmowach“ (Lwów 1905) ogłosił Lemański tragedję zwierzęcą w czterech aktach z prologiem i epilogiem pt. „Lwy“. Oczywiście sam autor nie brał na serjo tytułu tragedji, którą rzucił szkicowo na trzydziestu stronicach w formie półdramatycznej, półoperowej, dopełniając dialogu głosami niewidzialnych chórów. W groteskowych zarysach autor przedrzeźnia ludzkozwierzęce czyny i uczucia, a chóry wyrażają różne ironiczne refleksje, związane z treścią tragedji zwierzęcej. Lew stary

daje się znieść ślicznej pokusie-gazelli, którą zagryza na śmierć i w pada w sieci. Dostaje się do niewoli i musi skakać przez obręcz, jak mu każe pogromca, dręcząc głodem dawnego króla pustyni, rzucając mu ochłapy mięsa, gdy dobrze pokazuje sztuki. Aby rozmnożyć plemię lwów cyrkowych, pogromca przyprowadza mu do klatki lwicę. Po dwu latach w klatce skacze lew młody, który nie chce tak, jak jego ojciec być tylko kłownem, ale czuje, myśli i pragnie dowiedzieć się, jak wygląda świat szeroki, od którego dzieli go pręty żelazne. Pogromca prawi ironiczne poglądy na kulturę ludzką w kontraście do dzikiej przyrody. Lew młody, poczuwszy duszę wolnego drapieżnika, zagryza pogromcę. W akcie czwartym wyrzuca lwu staremu, że go spłodził w niewoli. Nie znając świata, rwie się do ucieczki w puszcze... Zirytowany pokorą i praktycznością swego papy, młody lew rzuca się na niego, i zagryza, wybiega potem z klatki, a za sceną „słychać grzmot wystrzałów i okrzyki, zwiastujące śmierć ojcobójcy”. W epilogu autor przez słowa reżysera wypowiada sens moralny tragedji „która leży jak na dłoni”.

Stary lew to proza jest, a młody — sztuka,
Lew rozpustnik, to życie skaczące w żądź kole,
Cyrk, pogromca — światowych nałogów symbole,
Lew młody to poezja, która z życiem zrywa,
Mruczy na ten sprośnością przepełniony światek,
I tresurą hecarską nękana do życia,
Gryzie się i wyzwala z tych życiówek kratek.

Marja Mazurkówna.

Świętojańskie muszki.

W gwiazdzistą, letnią noc,
Gdy święta cisza wstaje
Nad pól i borów raje,
A wraz z nią cudów moc

Wspaniałych i ogromnych —
Wśród szeptu wichrów fal,
Wybiega dusza w dal,
Z rozkoszą kwiatów wonnych —

I patrząc w nocy cud
Czarowny tajemnicą,
Widzi, jak wśród mar, złud,
Złociste muszki świecą.

Wśród śpiących pól roztoczy
Świecą, jak gwiazdne skry,
Jak słodkich tęsknot łzy,
Jak miłowane oczy...

To muszek świętojańskich
Promienny, cichy rój,
Leci z pod stref niebiańskich
Ozłocić zcichły znój —

Leci, gdzie kwiat paproci,
Miłosnem szczęściem drży,
Gdzie rozkosz bóle złoci,
Nim pierzchną letnie sny.

A lecąc, sieją skry,
Po śpiących łąk roztoczy,
Jak słodkich tęsknot łzy,
Jak miłowane oczy...

Aniela Maszkowska.

W słowiczem gnieździe.

(Przedruk ze „Słowa polskiego”).

— A przebrzydłe plemię ptasie, a rabusie, a zbrodniarze! — wołał zrozpaczony słowik — młody małżonek, podczas kiedy pani słowikowa, skrywszy główkę w puchy pod skrzydłem, zalewała się gorzkimi łzami.

Rozpacz ich nie miała granic. A była uzasadniona. Bo pomyśleć tylko — z czterech kragłych slicznie nakrapianych jajek, jakieś wstrętne ptaszysko — jakiś potwór w ptasiem ciele rozbił trzy największe, najładniejsze, a z dwóch nawet już wypił żółtko. Oczywiście skorzystał drab z chwili, gdy przyszła matka uleciała, aby o wschodzie słońca zrobić ranną to-

aletę, a ten mąż — nicpoń zamiast pilnować w jej nieobecności ogniska domowego, zjadał smacznie śniadanie na odległym drzewie.

— Jedno tylko, jedno jajeczko zostało — o ja nieszczęśliwa sierota — biadała słowikowa, i podgarniała przyszłego jedynaka i nakrywała go ciepłym brzuskiem. I odtąd już, gdy musiała gniazdko opuszczać, nakazywała mężowi zająć swoje miejsce i bacznie strzedz całości mienia. Siedział więc słowik pilnie na jajku i głos stroił. A gdy żona wracała do domu i do swego obowiązku, ustępował jej miejsca, a sam usiadał na najbliższej gałęzi i jako wzorowy małżonek urozmaicał jej śpiewem nudny czas więzienia.

Ach, jak jej wyśpiewywał! jaka biegłość gamy, jaki tryl preczysty, jaki oddech długi, a ta głębia wyrazu!

Pani słowikowa zasłuchana w muzykę męża, przeboleła stosunkowo dość prędko stratę niedoszłych dzieci. I samą zdumiała, jak szybko przeleciał jej ten czas, na który młode małżonki zwykle narzekają.

Tych parę tygodni to był jeden przepiękny sen o miłości, jeden hymn na jej cześć śpiewany, jeden hołd gorącego serca, pełnego nadziei.

Pewnego dnia gość spodziewany i upragniony zapukał od wnętrza swego mieszkanka, a uważnie wsłuchana matka co prędzej zaczęła mu drzwi otwierać.

O Boże, co za radość, co za cudo! Mokre to wprawdzie jeszcze, łyse i gołe — a jednak cudne.

— Synek, synek — zawołała matka.

— Synek — powtórzył ojciec dumnie i uroczyście.

I w tej chwili jął nadstawiać uszy — tenor to, czy baryton? bo przecie nie mógł wątpić, że syn odziedziczy po nim talent i sławę. Ale synek pisał, ćwirkał, że naprawdę tylko ojcowskie ucho, choć tak muzykalne, mogło te dźwięki brać za śpiewanie.

Zabrano się zaraz do wychowania potomka — przyszłej chluby, sławy i dumy słowiczego rodu.

Zrazu ojciec tylko zajęty był całodziennem wyszukiwaniem i znoszeniem dziecięciu maluchnych, a tłustych muszek i pulchnych robaków — bo matka, bojąc się zaziębienia dziecka siedziała przy nim i wciąż go grzała ciepłym skrzydłem. Ale z czasem, kiedy synek rósł jak na drożdżach, a apetyt mu

się zwiększał — oboje rodzice naprzemian wylatywali na polowanie.

A kiedy wieczorem ukołysane dziecię spało snem twardym, rodzice w wzajemnych wynurzeniach oddawali się rozkoszy tego domowego szczęścia.

— O jakże mi dobrze — mówiła słowikowa, tuląc główkę do żywo bijącego serca małżonka. O jakżem szczęśliwa przy twoim boku i takiego mając syna!

— Poczekaj — odpowiadał małżonek — to dopiero początek szczęścia, poczekajno cierpliwie, niech tylko malec podrośnie, a gardziółko roztworzy, będziemy wtedy mieli co słuchać, będziemy się radować.

— O tak, odpowiadała spieszenie żona, tak, tak — ty będziesz go uczył, a potem śpiewać z nim razem będziesz, a ja usiądę przy was, by słuchać i śmiać się i płakać z radości. O, co za szczęście nas czeka, jaka cudna przyszłość. Nie zateśknimy do towarzystwa, ni przyjaciół, ni znajomych, wystarczy sobie we troje. Ty, ja i nasze dziecię.

Tak marzyli rodzice i układali program przyszłego życia. A synek podrastał; z biegiem dni coraz jaskrawiej występowała jego muzykalność. Kiedy ojciec, zdarzało się, zamiast pójść na polowanie, usiadł na gałązce i zaśpiewał — malec aż drżał z radości.

I coraz bardziej szybkę naciągał i wychylał z gniazda główkę i nasłuchiwał różnych dźwięków i głosów, które las przepajały.

A las grał.

Szumiały z cicha w niepewnym rytmie liście brzoź, dębów i buków — jakby jakiś cichy, ledwo brzękliwy akompaniament, jakby tło pod pojedyncze głosy leśnych solistów.

Dzięcioł wybijał dzióbem takt na drzewie.

Więc wilga pełnym, soczystym, mezzosopranem śpiewała radosną pieśń wiosny, kos jej wdzięcznie wtórował — tam inna ptaszyna siała koloraturowe perły — kukułka rzucała od czasu do czasu swoje staccatta w tercję. Jakby wielostronna arfa, brzęczały skrzydełkami muchy, osy, trzmiele, przechodząc z tonacji w tonację. A po nad wszystkim hen, w obłokach, unosiła się liryczna pieśń Chrystusowego śpiewaka — skowronka. Słowiczek słuchał.

A wtem szturknięcie dzióbem w plecy, budziło go z tej zadumy.

— Bąku przebrzydły — wołała zniecierpliwiona matka — znowuś się zagapił? Zjedźże teraz tego robaka com ci przyniosła.

Słowiczek bezmyślnie przysmak łykał i dalej wychylał łebek z gniazdka o niemem zasłuchaniu.

Przyglądał się temu ojciec i z dumą trącał skrzydłem matkę, okazując jej muzykalność syna.

— Et, niewiadomo co, — muzykalność! Masz też na co pozwalać, aby się malec wsłuchiwał jak ta wilga kokietka drze się w niebogłoty — albo ładacznicza kukułka wabi wrzeszcząc dwoma tonami gachów z całego lasu. Na ładnej muzyce on się wykołysze! Ot, lepiejbyś mu sam zaśpiewał — a nie — to mu przynieś muszek na obiad.

A synek dalej słuchał.

Zbliżała się zima — więc nasza słowicza rodzina wybrała się w podróż do cieplejszych krain. Wszędzie było im dobrze we troje, zawsze sobie wystarczali, ba nawet tworzyli takie maleńkie towarzystwo wzajemnej adoracji. Synek pod kierunkiem ojca pracował przez te długie miesiące w teorji muzyki i gotował się do przyszłych występów w swoim rodzinnem miejscu na najbliższy maj. A matka rozkoszowała się tem domowem szczęściem.

I nadeszła wreszcie upragniona wiosna. Trawy pokryły łąki, drzewa się postroiły w ślubne szaty, kwiaty, na polach uśmiechy stały ku słońcu — a wietrzyk wiosenny wraz z całą armją owadów latał w swaty od drzewa do drzewa, od kwiatu do kwiatu i kójrzył młode pary.

I znowu las grał. Strumień szemrał, ptaszki śpiewały — a nasz młody, pięknie wyrosły słowiczek w dzień słuchał. A kiedy słońce ostatnie promienie pozbierało z ziemi, kiedy ptaki po całodziennem koncertowaniu ucichły i na spoczynek poszły, kiedy muchy i chrząszcze skrzydła stulały — słowik dzióbek otwierał.

I śpiewał. Śpiewał swoją pieśń radości, pieśń miłości, pieśń dziękczynną stał ku niebu za cud życia.

I ulatał dalej i coraz dalej od gniazdka i śpiewał dębom wyniosłym, drżacej osice i wierzbie płaczącej i bzmom rozkwitłym i róży płonącej i tym fijołeczkom ukrytym w trawie.

A światu oniemniałemu z zachwytu rosło serce.

— Już on teraz nie nasz — zawołała ze łzą w oku jego matka — już on nie dla nas żyje — biadała — biedaczka, patrząc jak syn skrzydła szeroko rozwinął i na świat leciał.

— Tak, tak, już on nie nasz — mruczał z cicha ojciec.

A słowiczek dalej śpiewał lasom, łąkom, kwiatom — i człowiekowi nawet śpiewał.

Stanisław Nowiński.

Zwierzęta

w podaniach, życiorysach, i pamiątkach.

(Ciąg dalszy).

Jak lew na trzodę szedł także Sarpedon na Greków bro-
niących murów swojego obozu :

Pewnoż jednak Trojanie i Hektor lśniący się hełmem

Nie wylamaliby bram i wrzeciędzów w murach obronnych.

Jeśliby Zeus Sapardona, własnego syna swojego,

Nie był pechnął na Danajów, jak lwa na rogate bydłęta.

Więc się zasłania bohater puklerzem wzdętym pośrodku,

Rozmigoconym odspizu, prześlicznym, wyborny to płatnerz,

Twardych skór zestawivszy kilkoro z byków opasłych,

W krąg je w całym otoku złotemi prątkami przedzierżnął.

Takim puklerzem zakryty i trzęsąc dwiema włóczniami

Szedł jak lew pośród gór uchowany, jeżeli załaknie

Mięsa i krwi; a zuchwała go dusza w piersi pobudza

Wpaść do człeka zagrody, barana w stadzie pochwyć,

Choć tam spotka na pewne i psy i czujnych pasterzów,

Którzy troskliwie swych stad uzbrojeni w oszczepy pilnują;

Niedoświadczywszy atoli, odpędzić nie da się łatwo :

Owszem, rzuca się śmiało i zdobycz uniesie, jeżeli

Wpierw, ugodzony orężem, nalegaiesz ręki młodzieńca ;

Tak Sapardona równego niebianom, odwaga uniosła,

Wpaść na mury echejskie i blanki wydawać na basztach.

(XII. 290 i n.)

Nie mniej barwnym oraz dramatycznym jest opis napadu
lwa na trzodę, skreślony dla unaocznienia walki Hektora z Gre-
kami.

On zaś, jakoby lew zapalczywy, gdy wpadnie na stado
Bydła, którego tysiące się pasie na błoni rozległym :
Pasterz zląkł się i sam nie wprawiony bo jeszcze do walki
Z dzikim potworem nie umie obronić bydłęcia ; co prawda,
Z przodu i z boku zabiega mu wciąż, ale zwierz zapalczywy
Wzajem się jemu odkręca i bydłę w stadzie uchwycił
Jedno a inne pierzchają ; — podobnież Achejczykowie,
W obec Hektora i Zeosa pierzchnęli postrachem przejęci.
XV. 630 i n.

Najpodobniejszym jednak do lwa walczącego wydał się
Homerowi Achilles, gdy szedł aby się zmierzyć z Eneaszem.

Zewsząd pole się całe zapełnia, spiżem się błyszczą
Mężów i koni i wozów i ziemia drży pod stopami
Tłumów do boju idących. Mężowie oto najtężsi
Dwaj występują naśrodek naprzeciw walkę rozpocząć :
Syn Anchizera Eneasze i bogopodobny Achilles.
Pierwszy wychodzi Eneasze, bohater ze srogim obliczem.
Hełmem spiżanym na głowie wstrząsając, w lewej on ręce
Tarcz swą trzyma ogromną, a w prawej dygotał oszczepem,
Nań zaś idzie odważny Achilles: jak lew krwawożerca,
Szkodnik, kiedy wieśniacy, ażeby go życia pozbawić,
Wyjdą w całej gromadzie: na razie gardzi motłochem ;
Idzie spokojny; lecz skoro go który z dzielnych młodzieńców
Zrani pociskiem: przysiada, rozwiera paszczękę, wyszczerza
Kły zapieni się, a serce odważne w piersi mu jęczy ;
Długim, kościstym ogonem po zadzie i bokach obydwóch
Raz wraz siebie smagając, do walki sam się pobudza :
Ogniem błyskają mu oczy i rzuca się w tłum, aby zaraz
Męża którego pokonać lub paść pokonanym: — podobnież
Syna Peleuszowego pobudza dusza wyniosła
Eneaszeowi nieustraszonemu postawić się mężnie.

XX 156 in.

Herodot opowiada, że gdy król perski Kserkses przechodził z wojskiem przez Macedonię (450 przed Ch.) lwy napadły na tyły jego armii i pozagryzały wielbłądy obładowane zbożem. Tak więc jeszcze wówczas przebywały lwy, w najbliższym sąsiedztwie Grecji. Były tam i później, bo Ksenofont, zmarły w r. 354 przed Chr. wyraźnie o tem świadczy w dziele swoim Cynegetyk, mówiąc, że znachodzą się i łowią około gór pangajskich w Macedonii, na Kittos i opisuje jak tam są łowione. Lu-

dność, rozszerzająca coraz dalej swoje siedziby, wytępiła z czasem do szczytu tych niebezpiecznych sąsiadów. Według Arystotelesa, rzeki Nessus i Achelous stanowiły w Europie granicę pobytu lwów.

Wspomnienie pobytu lwów w Epirze przechowało się w następującem starożytnem podaniu: Phayllos, tyran ambracyjski odkrył na polowaniu lwia jamę, zabrał szczenię i chciał unieść. Ale dopadła go lwica i rozszarpała. Mieszkańcy Ambracji oddawali odtąd cześć lwicy, jako swojej oswobodzicielce.

Lew był u Greków godłem szlachetności i odwagi. Na grobie Leonidasa postawiono kamiennego lwa, a pamięć mężnej Leaeny, która wzięta na tortury odgryzła sobie język, aby nie zdradzić sprzysiężenia Harmodiosa i Arystogitona, uczcili Ateńczykowie posągiem przedstawiającym lwicę bez języka.

Pisarze greccy i rzymscy określają postać lwa dokładnie, podają jednak o nim wiele baśni. Według nich kości lwa są tak twarde, że można niemi krzesać ogień; lew pogardza małemi zwierzętami, nie rzuca się nigdy na kobiety, ma być wspaniałomyślnym dla proszących go o łaskę itp. Baśniom tym o wspaniałomyślnych lwach zaprzeczała przecieź okropna rzeczywistość na arenach cyrkowych. Gdzie lud rzymski widywał je zawsze tylko rozszalone, mordujące i mordowane bez litości. Widywał je zaś dość często, bo krwawe zapasy zwierzęce, w których uzbrojeni szermierze, lub skazani na pożarcie winowajcy staczali walkę na zabój z dzikimi zwierzętami ku ucieście rozbestwionego pospólstwa, były w Rzymie niezmiernie lubiane i do pozyskania łaski tłumów nie było skuteczniejszego środka nad urządzenie takich widowisk. Ileż to świętych męczenników i męczenniczek padło ofiarą tej wyuzdanej dzikości motłochu rzymskiego i jego władców, aby krwią swoją stwierdzić prawdziwość wiary, za którą umierali.

Lwy, które razem z panterami występowały w najslawniejszych znanych walkach zwierząt w r. 186 prz. Chr. były niewątpliwie afrykańskie. Sprawdzano lwy w ogromnej ilości zwykle z gór Atlas. Po zwycięstwie nad Jugurtą, Sulla sprowadził do Rzymu 100 lwów, które oddał do wymordowania w teatrze. Pompejusz dostarczył ich 500 do tego celu. Cezar, wyprawiając wielkie widowisko w ostatnim roku przed śmiercią, zgromadził ich 400. Już za pierwszych cesarzów trudniej było o lwy; nie mogło być inaczej, skoro ich tyle w cyrkach mor-

dowano. Za to wielkie puszcze, które były dotąd siedliskiem dzikich zwierząt i z tego powodu nie mogły być zamieszkałe, zaczęły się teraz zaludniać. Nizina między Eufratem i Tygrysem jeszcze i w późniejszych czasach obfitowała w lwy, jednakże w żadnej już walce zwierząt nie występowało nigdy więcej lwów jak sto.

Chwywanie lwów ciężką było pracą, łapano je bowiem w doły do tego celu kopane. Za cesarza Klaudjusza, jakiś pasterz wynalazł łatwiejszy sposób. Gdy go raz lew napadł, rzucił na niego swoje zwierchnie odzienie i lew tak się tem zmieszał, że dał się pojmać. Odtąd najczęściej tym sposobem lwy łapano.

Lwy obłaskawione.

Oprócz lwów dzikich na arenach cyrkowych widywano w starożytnym Rzymie często także obłaskawione. Według pisarzy greckich, lwy indyjskie nie były trudne do oswojenia. Kartagińczyk Hanno, współczesny Hannibala, pokazywał się między ludźmi z lwem przy boku. Tryumwir rzymski Marek Antoniusz wjechał raz do Rzymu wozem ciągnionym przez dwa lwy. Cesarz Domicjan posiadał lwa obłaskawionego, który tak był wytresowany, że schwytawszy zwierzynę na polowaniu, puszczał ją na rozkaz, uciekał gdy mu kazano przed zającami i tak był oswojony, że można było bez obawy włożyć rękę do jego paszczy. Osobliwszego lwa tego rozszarpał inny lew, nieobłaskawiony, który wyłamał się z klatki. Statius pisze, że gdy się to stało, wszyscy oplakiwali ulubieńca: lud, senat, nawet cesarz. Nikczemny Heliogabal pozwalał sobie niekiedy takich niewczesnych żartów, że obłaskawione lwy swoje kazał wpuszczać do sali jadalnej i straszył nimi współbiesiadników. Za cesarza Karina, około 285 po Chr. przedstawiano w cyrku rodzaj komedji, w której wszystkie role odgrywały lwy.

Znaną powszechnie przygodę Androkłusa z lwem, opisuje Aulus Gellius, autor rzymski, który żył około 150 po Chr. w następujący sposób:

Androkłus, niewolnik prakonsula rzymskiego w Afryce, sprzykrzywszy sobie udręczenia, jakich doznawał od swego pana, uciekł na puszcze i ukrył się w jaskini. Ani mu na myśl nie przyszło, że jaskinia ta mogła jakimś dzikiemu zwierzęciu służyć za schronienie. A właśnie tak było. Niezadługo zjawił się tu lew olbrzymi, groźny, ale kulejący. Androkłus stru-

chłał, lew zaś ujrzawszy człowieka, wyciągnął ku niemu z zafaniem chorą łapę i jęczał, jak gdyby chciał tym sposobem obudzić litość w swoim gościu. Androkłus, ochłonawszy z pierwszego przerażenia, obejrzał łapę lwa i zręcznie wyciągnął tkwiący w niej cierń. Lew, którego ból zaraz się uśmierzył ocenił należycie dobrodziejstwo, jakie ten człowiek wyświadczył i usiłował okazać się wdzięcznym.

Owóż nie tylko nie zrobił Androkłusowi nic złego, lecz owszem pozwalał mu brać i przyrządzać dla siebie część łupu, który przynosił do jaskini.

Trzy lata spędzili razem. W końcu jednak Androkłus, za tęskniwszy za towarzystwem ludzkim, opuścił jaskinię w nieobecności lwa. Dostał się szczęśliwie do osady rzymskiej, ale tu poznano zaraz, że jest zbiegłym niewolnikiem, przytrzymano go i bez litości odesłano do Rzymu, gdzie właśnie przebywał jego pan. Ten skazał go na rozszarpanie w cyrku przez dzikie zwierzęta. W tym samym czasie pochwycono również i lwa, jego przyjaciela i także posłano do Rzymu, aby się w cyrku popisywał.

Lud rzymski, chciwy widowisk tego rodzaju zapełnił amfiteatr; cesarz zasiadł w pośrodku na podwyższeniu, otoczony dygnitarzami; widowisko się rozpoczyna. Wpadają na arenę lwy a między nimi jeden wspaniały, prawdziwy król puszczy; na niego też zwracają się oczy wszystkich widzów. Niewolnicy, mający stać się pastwą straszliwych kłów i pazurów, usuwają się z drzeniem. W tem o dziwo! ów lew najpiękniejszy ze wszystkich, ujrzawszy Androkłusa staje zdziwiony, zbliża się do niego, przypatruje się mu, rusza ogonem, liże mu ręce i nogi, jak łąszący się pies. Androkłus, ośmielony tem zachowaniem się lwa, przypatruje się mu nawzajem, poznaje w nim przyjaciela i obejmuje go za szyję.

Pomiędzy tłumami widzów rozległy się okrzyki zdumienia. Androkłus stawiony przed cesarzem opowiedział całą swą historję. Na naleganie ludu przebaczone mu, pozwolo udać się dokądby zechciał i podarowano mu lwa. Opuścił natychmiast cyrk, a gdy z lwem przechodził ulicami, ludzie stawali, zdumiewali się, darzyli go pieniędzmi a lwa wieńczyli kwiatami.

(C. d. n.)

Kalendarzyk łowiecki. W lipcu wolno polować na kozły, rogacze, na ptactwo wodne i btołne. Żadnej innej zwierzyny sprzedawać nie wolno.